



MIĘDZY NAMI ANINIANINAMI N I E C O D Z I E N N I K

Czerwiec / Sierpień ★ ISSN 1644-6356 ★ Pismo bezpłatne ★ Rok 2020 nr 3/118



fot. Jacek Wołoszka

Kolejny nasz numer ukazuje się już po wyborczej gorączce, lecz niestety nie po końcu pandemii, która wciąż daje się nam we znaki – utrudnia spotkania z osobami, które chcielibyśmy zaprezentować, przeszkadza w dyskusjach nad tekstami.

Jednak życie, choć krętymi drogami, toczy się dalej. Udało nam się zmobilizować naszych stałych współpracowników – nie wszystkich, niestety.

Zasmuceni śmiercią matki prof. Piotra Błędowskiego składamy mu szczere kondolencje, rozumiejąc doskonale, że nie mógł poświęcić nam czasu, stąd brak stałego felietonu na łamach *niecodziennika*.

Po raz pierwszy od ponad dwudziestu lat nie odbyło się w czerwcową sobotę spotkanie miłośników Konstantego Ildefonsa Gálczyńskiego z Kirą Gálczyńską, która jednak nie zapomina o aninianach: *Mili Państwo!*

Po raz pierwszy nie możemy się spotkać na „Anińskich Dniach Zielonego Konstantego”, dlatego korzystam z tej formy bycia z Państwem, aby Wam powiedzieć, że myślami jestem... wracam do naszych spotkań, (i) tych pierwszych, wśród konwalii, w zielonym Aninie...

Pamiętam Państwa miłą uwagę dla „Zielonego Konstantego”, serdeczność... [...]

Życzę Państwu wszystkiego najlepszego i do zobaczenia, mam nadzieję, za rok.

Opustoszały biblioteki, życie kulturalne naszego osiedla wprawdzie usiłuje się dźwigać, ale będzie to trudne. Z anińskiego Domu Kultury odszedł na emeryturę wieloletni pracownik, Mirosław Perzyński. Będziemy pamiętać prowadzone przez niego spotkania, wzbogacone jego wiedzą i subtelnością. Może spotkamy się z nim jesienią przy lampce wina?

Warto wspomnieć, że we wrześniu ukaże się nowa powieść Małgorzaty Gutowskiej-Adamczyk – tu niespodzianka – o Aninie, wprawdzie pod pseudonimem „Osiedle Sielanka”, ale jednak łatwym do odszyfrowania. Wielu czytelników odnajdzie w niej siebie i swoich znajomych.

W tym numerze wiele miejsca poświęcamy tematowi przyjaźni.

Życzymy przyjemnego czytania.

O Emilu Karewiczu pisano w MNA wielokrotnie (m.in. w numerze 4/93). Chociaż urodził się w Wilnie, prawie całe swoje dorosłe życie związał z Warszawą, a znaczną jego część z Aninem. Chętnie uczestniczył w szkolnych uroczystościach i lokalnych wydarzeniach organizowanych w anińskim Domu Kultury.

Jego pasją było aktorstwo, spełniał się również jako malarz, grał na pianinie, komponował. O swoim życiu, karierze, szczęściu podążaniu za marzeniami, szczególnie liczbie 3 i wielu innych, ważnych sprawach opowiedział w książce „Moje trzy po trzy”.

We wczesnych latach 60. XX wieku zaczął występować m.in. w teatrach Ateum i Dramatycznym, ale przede wszystkim zapisał się w historii polskiego kina jako wybitny aktor filmowy. Wielbicielami jego talentu są osoby z różnych pokoleń, wciąż podziwiający jego niektóre wręcz kultowe role. Wymienię tu kreację porucznika AK „Mądrego” w filmie „Kanał” czy oficera gestapo przesłuchującego Franka Dolasa w „Jak rozpętałem drugą wojnę światową”. Mnie natomiast najbardziej zapadła w pamięć rola Tadka „Warszawiaka” w filmie „Baza ludzi umarłych” na podstawie noweli Marka Hłaski.

Jestem wielkim entuzjastą szeroko pojętej kinematografii. To nie tylko kwestia pasji, ale również studiowania w szkołach filmowych w Warszawie i Łodzi. Szczególną przyjemność sprawia mi wyszukiwanie błędów i nieścisłości popełnionych przez twórców w czasie realizacji filmu.

Bartosz Mildner

WSPOMNIENIE



Wielokrotnie spotykałem się z pytaniem, czy król Jagiełło grany przez Emila Karewicza w filmie „Krzyżacy” rzeczywiście sprawdzał godzinę na swoim zegarku? Dzieło wyreżyserowane przez Aleksandra Forda obejrzałem niezliczoną ilość razy i znam je prawie na pamięć. Zapewniam, że sprawa zegarka to szeroko rozpowszechniony, rzekomy anachronizm filmowy. Jako ciekawostkę dodam, że pierwszy mechaniczny zegarek kieszonkowy powstał na początku XVI wieku, czyli około 100

lat po bitwie pod Grunwaldem. Bezspornym natomiast błędem w filmie „Krzyżacy” jest widoczny cień operatora kamery w końcowej scenie batalistycznej.

Z Emilem Karewiczem kojarzymy również słowa, które na stałe weszły do języka potocznego: „Nie ze mną te numery Brunner!” Zdanie to, rzekomo wypowiada Stanisław Mikulski w 14. odcinku serialu „Stawka większa niż życie”. Rzekomo, gdyż w oryginale brzmią nieco inaczej: „Takie sztuczki nie ze mną, Brunner!” mówi filmowy bohater, Hans Kloss. Nie udało mi się jednak ustalić, skąd wzięło się to przeinaczenie.

Nie ulega wątpliwości, iż największą popularność przyniosła Emilowi Karewiczowi rola Hermanna Brunnera we wspomnianym wcześniej serialu „Stawka większa niż życie”. Pytany wielokrotnie w wywiadach, czy ma w sobie coś z tej postaci, stanowczo zaprzeczał. Wspominał też, iż realizacja serialu przebiegała bardzo sprawnie oraz, że z odtwórcą głównej roli – Stanisławem Mikulskim – połączyła go ciepła zażyłość.

Pan Emil zmarł 18 marca w Warszawie, kilka dni po swoich 97. urodzinach. Spoczął w Alei Zasłużonych na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

I ciągle, i wciąż, gdy trafiam w telewizji na filmy z jego udziałem, szczególnie powtórkę serialu „Stawka większa niż życie”, oglądam je z przyjemnością.

HARCERZ PRAWDZIWI NIGDY NIE PRZESTAJE BYĆ HARCERZEM – ZŁOŻYŁ PRZYSIĘGĘ

Wśród naszych czytelników sporą grupę stanowią harcerze – i ci niegdyś czynni, i ci młodzi, ledwie po skończeniu szkoły podstawowej. Im dedykujemy wspomnienie druha-żeglarza, dr Stanisława Latka.

POD HARCERSKĄ BANDERĄ

Stanisław Latek

Byłem już studentem drugiego roku Wydziału Fizyki na Uniwersytecie Warszawskim, kiedy w 1957 r. wstąpiłem w szeregi ZHP. Moja drużyna była specyficzna – należeli do niej sami dorośli. ZHP wówczas, po latach ulegania wpływom komunistycznej ideologii, znów zaczął sięgać do idei twórcy skautingu i tradycji harcerstwa przedwojennego.

Po kilku miesiącach szkolenia i złożeniu przysięgi członkowie naszej drużyny uzyskali stopnie instruktorskie. Powstał „Harcerski Krąg Instruktorski”. Zainteresowałem się żeglarsstwem, ponieważ wśród kilkudziesięciu drużyn działających na terenie Chorągwi Mazowieckiej ZHP istniały też harcerskie drużyny wodne. Ich opiekunem był tzw. Pilot Chorągwi.

Kwalifikacje żeglarskie zdobyłem, uczęszczając na kursach i żeglując po Wiśle i Zalewie Zegrzyńskim. Chorągiew Mazowiecka posiadała nad Wisłą Harcerski Ośrodek Wodny. Tam, remontując łódzie zimą, pływałem na nich latem. W rezultacie wytrwałej pracy miałem zaszczyt stać się wspomnianym Pilotem w latach 60. – 70. ubiegłego wieku. Jako Pilot odwiedzałem drużyny młodych „wodniaków” m.in. w Pułtusk, Ostrołęce, Legionowie, Płocku. Współorganizowałem rejsy śródlądowe i kierowałem młodych żeglarzy na rejsy morskie przygotowywane przez Centrum Wychowania Morskiego.

REJS SZLAKIEM KOPERNIKA

Wielkim wydarzeniem dla harcerskich wodniaków był Rejs Szlakiem Kopernika zorganizowany w roku 1973 dla uczczenia 500-lecia urodzin Wielkiego Astronoma. Rozpoczął się w Krakowie, gdzie Kopernik studiował. Prowadził Wisłą, przez Toruń, aby zakończyć się we Fromborku, gdzie Kopernik zmarł w 1543 roku. Byłem komandorem tego trudnego rejsu. Odpowiadałem za bezpieczeństwo, zapewnienie wyżywienia i organizację miejsc do spania dla kilkuset młodych ludzi. Na mecie we Fromborku zameldowało się ponad 100 ludzi. Podczas specjalnej parady wody Zalewu Wiślanego zabieliły się żaglami. Moją pracę docenił burmistrz miasta, wręczając mi dyplom Honorowego Obywatela Fromborka. To miła pamiątka harcerskiej współpracy.

Wkrótce z wód śródlądowych wypłynąłem na morze.

NA SZEROKIE WODY

Mam za sobą rejs wokół Islandii na żaglowcu Zawisza Czarny, pływanie po Bałtyku z zawijaniem do portów Szwecji i Finlandii. Nie obyło się bez przygód – wszystkich opisać nie sposób. Podczas jednego z rejsów doznałem ataku kolki nerkowej, przez co trafiłem do szpitala. Na szczęście po paru godzinach wróciłem na swój jacht, którego byłem kapitanem.

Moja aktywność w strukturach wodniackich ZHP została dostrzeżona w środowisku żeglarskim. Zostałem wybrany do władz Polskiego Związku Żeglarskiego. W kolejnych kadencjach awansowałem w strukturach PZZ, zajmując funkcję wiceprezesa do spraw turystyki oraz do spraw żeglarstwa śródlądowego.

MAZURSKA OPERACJA ŻAGIEL

Pod koniec lat siedemdziesiątych sprawą ważną dla żeglarzy stała się ochrona naturalnego środowiska wodnego. W polskiej prasie pojawiły się informacje o zatruciu, wręcz dewastacji Wielkich Jezior Mazurskich.

Społeczność żeglarska postanowiła wspólnie z gospodarzami ówczesnych województw olsztyńskiego i suwalskiego opracować program działań, które pozwolą uratować Mazury dla przyszłych pokoleń Polaków.

Działania te miały na celu zmniejszanie zanieczyszczeń jezior ściekami komunalnymi i ściekami z gruntów rolniczych oraz przeciwdziałanie niszczeniu linii brzegowej jezior, lasu i jego podłoża, fauny i flory, a także starego budownictwa mazurskiego.

Wymienione działania ekologiczne, a także zadania z zakresu zagospodarowania turystycznego akwenów Wielkich Jezior Mazurskich miały być popularyzowane i realizowane w formie Mazurskiej Operacji Żagiel.

Pierwsza MOŻ odbyła się w roku 1979. Przygotowaniami do imprezy kierował kilkunastoosobowy sztab, któremu przewodniczyłem, a w jego składzie znajdowali się przedstawiciele różnych instytucji i organizacji, w tym reprezentanci Centralnej Rady Związków Zawodowych.

Do dzisiaj mam żeglarski periodyk „Żagle”, który opisał otwarcie MOŻ '79 w Mikołajkach, stolicy krainy Wielkich Jezior Mazurskich.

W czasie tej pierwszej, krótkiej operacji odbywały się regaty, ogniska z szantami, żeglarska dyskoteka, spotkania i dyskusje z ekologami oraz sprzątanie brzegów jeziora.

Mazurskie Operacje Żagiel trwały kilka lat i przynosiły konkretne efekty. Ich zasięg terytorialny ulegał rozszerzeniu. Powstawały stacje i mariny, uruchamiano oczyszczalnie ścieków. Dziś stan jezior nie jest dramatyczny, a zagospodarowanie brzegów zadowalające.

Rok temu, w czterdziestą rocznicę pierwszej MOŻ, burmistrz Mikołajek wręczył mi dyplom za współzainicjowanie i prowadzenie Mazurskiej Operacji Żagiel.

A co teraz? Jako emeryt pływam na starej łodzi żaglowej po jeziorach mazurskich, które podziwiam i kocham.



Przed Rejsem Szlakiem Kopernika - 1973 r.



Otwarcie Mazurskich Operacji Żagiel
Mikołajki 1979 rok

Publikacja z 1989 r. Wydawnictwo PTTK „Kraj”



Moja niezawodna żagłówka na mazurskie jeziora
Fotografie z archiwum Stanisława Latka

W HERBIE WAWRA

Dąb w wierzeniach słowiańskich łączył trzy sfery: korona wspierała sklepienie niebieskie, mieszkali tam bogowie, pień znajdował się w świecie realnym, natomiast korzenie stanowiły filary piekieł. Drzewo to było dla nich najważniejsze spośród tych wszystkich, które cieszyły się w ich wierzeniach magicznymi i nadprzyrodzonymi właściwościami. Stanowiło symbol nieśmiertelności ze względu na twardość drewna i długowieczność - może on przetrwać nawet tysiąc lat.

Dęby były cenione nie tylko ze względu na swą symboliczną wartość. Poza przeżyciami duchowymi dostarczały drewna na opał i budulca, choć niektóre źródła mówią o tym, że ścięcie dębu było uważane za świętokradztwo i nawet jeśli drzewo uschło, to nie rąbano go, lecz pozostawiano, aby czas i natura dokonały jego rozkładu. Mało kto wie, że dęby dostarczały też pożywienia. Nasi przodkowie spożywali żołędzie, stawiając je na równi z ziarnami zbóż. Robiono z nich np. bogatą w witaminy mąkę i kawę.

Najbardziej cenione były te okazy, w które uderzył piorun, oznaczało to bowiem, że dotknął ich gromowładny Perun, czyli jeden z najważniejszych bogów wschodnich Słowian. Dzięki temu drzewo nabierało sakralnego wymiaru i zyskiwało lecznicze moce. Perun przebywał wg wierzeń w dębowych lasach, na wzgórzach i tam można było zwracać się do niego, by prosić o wysłuchanie modlitw. Proszono o różne rzeczy, np. o deszcz i dobrą pogodę. Na podstawie wyglądu drzewa wrócono też, jaka będzie pogoda i urodzaj w danym roku. Pod dębami dokonywano sądów.

Wśród niektórych ludów słowiańskich do świętego gaju mieli wstęp tylko kapłani oraz ci, którzy chcieli złożyć ofiary -



z nabiału, owoców lub miodu. Ratunku w nich mogli też szukać ludzie, którym groziła śmierć z rąk prześladowców. Znalazienie się w obrębie świętego drzewa zapewniało im azyl. Powodem był szacunek, jakim Słowianie otaczali swe świątynie umieszczone w dąbrowach, nie pozwalając im na przelać tam niczyjej krwi, nawet wroga. Jednak wejście ot tak, bez ważnej przyczyny do miejsc świętych było surowo zakazane.

Dąb miał też poświęcony sobie miesiąc. Był to kwiecień, gdyż wtedy właśnie następuje jego kwitnienie.

Kult dębów był tak głęboko wrośnięty w świadomość i tradycje ludowe, że jeszcze w XIX w. można odnaleźć echo wiary w moc Perkuna. Młoda para obchodziła trzykrotnie stary dąb, aby zapewnić sobie powodzenie i szczęście. Pod dębami zakopywano kołtuny i mleczne zęby, co miało zapewnić zdrowe zęby stałe oraz zapobiec odnowieniu się kołtuna. By zaradzić bólom pleców, nasi przodkowie ocierali się nimi o pnie dębów lub podczas żniw przyczepiali sobie za pas gałązki dębowe. Obłożnie chorych przeciągano przez rozłupany konar dębu.

Nie tylko Perunowi przypisywano szczególne prawa do dębów. Także połabskiego boga Prowe łączono z tym drzewem, choć niektórzy dopatrują się pewnych jego związków z Perunem. Miał on jednak również poświęcone sobie dęby i gaje.

Drzewa wśród Słowian miały też symboliczną płci. Brzozy np. uważano za drzewa przypisane kobietom, bo są delikatne i wiotkie. Potęga i siła dębu była kojarzona z mężczyznami.

Również w Wawrze dąb ma swoje szczególne miejsce. Oprócz tego, że możemy poszczycić się aż kilkudziesięcioma wspinalnymi ich okazami, to został on uwieczniony w herbie Wawra.



*Wśród anińskich dębów są też i takie, które kłaniają się podróżującym ulicą Szpotańskiego
fot. Mirosława Skoczeń*

MODERNIZM W ARCHITEKTURZE WAWRA

Realizuję projekt stypendialny „Wędrówka przez Wawer w poszukiwaniu ostańców modernizmu. Zwracam się serdecznie do obecnych i byłych mieszkańców naszej dzielnicy o udostępnienie archiwalnych zdjęć, rysunków, projektów, dokumentów dotyczących budynków murowanych o cechach modernizmu, które powstały na terenie dzielnicy Wawer w latach 1918 - 1975.

Wszelkie informacje proszę przesłać na adres: wedrowkiprzezwawer@um.warszawa lub o kontakt telefoniczny tel. 502 168 278

**Liczę na pomoc Czytelników i Redakcji MNA.
Andrzej Rukowicz**

OSIEDLE STARYCH DĘBÓW

Moim zdaniem mieszkam w najpiękniejszym osiedlu Warszawy. Powstało wśród dębów, brzoź i lip na terenie starego, mazowieckiego mocno zniszczonego przez działania wojenne lasu. Projektanci osiedla zadbali, by budynki nie naruszyły skarbów przyrody, jakimi były np. wspańnięte dęby. Bloki rozmieścili między drzewami, zachowując je... dla mających się tu urodzić przyszłych mieszkańców.

O zachowanie koncepcji architektów tego skrawka wawerskiej ziemi dzielnie walczył samorządowcy dzielnicy Wawer, Stowarzyszenie RAZEM DLA WAWRA, „Gazeta Wawerska”. Szeroko opisał tu tejsze drzewa Jan Andrzejewski w „Gazecie Wawerskiej”. Jej redaktorzy zadali sobie trud policzenia najstarszych dębów, obmierzone je, typując niektóre na pomniki przyrody.

W ślady redaktorów poszła anińska drużyna harcerska pod wodzą Grzegorza

Samsona. Dębów na Osiedlu jest ok. 50. Sfotografowano niektóre. Robienie zdjęć olbrzymim drzewom w zabudowanym terenie nie było łatwe. Teren jest zarośnięty, bowiem podążając za koncepcją projektantów, mieszkańcy i właściciele gruntu – były IBJ oraz powstała tam spółdzielnia mieszkaniowa – postanowili zachować ów niezwykle leśno-roślinny charakter Osiedla. Przez pewien okres miało ono swego zawodowego ogrodnika.

Jedną z bojowniczek o rodzaj przyszłych nasadzeń – o której nie powinniśmy zapomnieć – była Barbara Andrzejewska (1918-1989), członkini Rady Osiedla, miłośniczka przyrody i... wspólnego działania. To z jej inicjatywy pawilon handlowy, stanowiący jakby środek osiedla – odgradzony został od budynków nie tujami, lecz rodzimymi dębami. Mieszkańcy sadzili te dębki przed kilkudziesięciu laty; teraz to już dorodne drzewa...

Warto przypomnieć przy okazji o posadzonych z inicjatywy Janusza Gałdy – byłego przewodniczącego Rady Osiedla Anin – tzw. Dębach Pamięci... Przeżyło tylko kilka. Niewiele osób o nich w ogóle myśli... Bo nie wszyscy przecież kochają drzewa. Są i tacy, którzy je podstępnie trują, bo... zacieniają mieszkanie, bo śmiecą liśćmi, bo mogą popsuć urok ostrzyżonego trawnika.

Jednak większość mieszkańców jest dumna ze swego niebywałego osiedla, czego dowodem są liczne, piękne kwietniki tuż obok bloków.

Dziękujemy tym wszystkim, którzy przyczyniają się do tego, że żyjemy... w pięknym parku. Tym, którzy sadzą, dbają, pilnują, jak też tym, którzy walczą o zachowanie jego specyficznego charakteru – słowem i uczynkiem.



Niektórych dębów nie można objąć rękoma. Można się tylko do nich przytulić



fot. Grzegorz Samson

Zastęp harcerzy próbuje dęby policzyć

ANIŃSKA GRA RPG

Role Playing Game – gry RPG. Ogromnie zyskują na popularności. To swoista gra wyobraźni i improwizacji, a gracze wcielają się w role fikcyjnych postaci. W filii Anin WCK już rozegrana została takowa, a obecnie czeka nowa pt. „Powrót do przeszłości”. Będzie osadzona w realiach Anina lat 20. i 30. XX wieku. Zapraszamy wszystkich chętnych do wzięcia udziału w tym projekcie - Wawerskie Centrum Kultury filia Anin przy V Poprzecznej 13.

Zgłoszenia - tel. 22 815 41 40 [mail: anin@wck-wawer.pl](mailto:anin@wck-wawer.pl) Zajęcia są bezpłatne. Serdecznie zapraszamy.

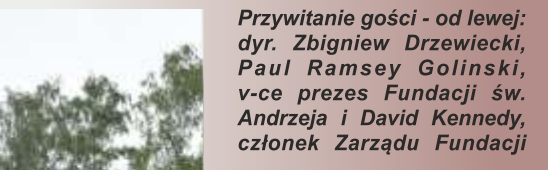
Mirosław Perzyński



Zadaszona arena do hipoterapii przed oficjalnym otwarciem



Zespół "Częstochowa Pipes and Drums" z Tomaszem Ujmą na czele



Przywitanie gości - od lewej: dyr. Zbigniew Drzewiecki, Paul Ramsey Golinski, v-ce prezes Fundacji św. Andrzeja i David Kennedy, członek Zarządu Fundacji



fot. Grzegorz Samson

STAJNIA HELENÓW

Mirosława Skoczeń

Zdarzają się takie miłe chwile, kiedy redakcja MNA zostaje zaproszona na ciekawe wydarzenia. Zwykle gromadnie nawet na nie przybywamy. Tak też się stało 24 czerwca br.

Dojeżdżamy ulicą o nazwie zaskakującej i zagadkowej, jednocześnie inspirującej wyobraźnię. Bo z jakiegoś powodu ktoś kiedyś drogę leśną nazwał - Hafciarską. Obecnie to długa, zadbane i utwardzona ulica, która prowadzi do celu naszej podróży – **Centrum Rehabilitacji, Edukacji i Opieki TPD "Helenów"**. Placówka istnieje od 90 lat (o historii jej powstania pisaliśmy w MNA – Rok 2019 nr 4/113).

Zespół budynków położony jest na rozległym terenie wśród lasów Mazowieckiego Parku Krajobrazowego na granicy Międzylesia i Anina. W tak pięknym otoczeniu dzieci szybciej dochodzą do zdrowia.

W 2003 roku powstała *Stajnia Helenów* – rozpoczęto zajęcia hipoterapii. Chętnych przybywało, a do pełni szczęścia brakowało tylko zadaszonej hali, żeby – bez względu na pogodę – można było prowadzić ćwiczenia wspomagające rehabilitację dzieci. Dziecko obcując ze zwierzętami zyskuje nową energię, która stymuluje je do aktywności ruchowej, poprawia motorykę, koncentrację, wzmacnia koordynację wzrokowo – ruchową. Kontakt z koniem daje poczucie sprawczości, zwiększa poczucie własnej wartości. Zajęcia z hipoterapii są okazją do stymulowania komunikacji werbalnej.

Dyrektor Ośrodka, Zbigniew Drzewiecki, podjął wyzwanie i dzięki wsparciu licznych sponsorów, głównie szkockiej Fundacji Św. Andrzeja oraz Mazowieckiego Centrum Polityki Społecznej wybudował zadaszoną arenę do hipoterapii.

W kropkach deszczu w asyście szkockich kobziarzy przemaszzerowaliśmy od budynku Dyrekcji w okolice stajni, czemu konie będące na wybiegu bacznie się przyglądały strzygąc uszami, zdziwione i zainteresowane niecodziennym zbiegowskiem.

Przed nowym obiektem, w towarzystwie zaproszonych gości odbyła się krótka część oficjalna przecięcia wstęgi. Kiedy weszliśmy do dość dużego, wydzielonego miejsca dla obserwatorów, na arenie rozpoczął się spektakl. Instruktorzy wspierani przez liczne grono wolontariuszy prezentowali różne formy zajęć terapeutycznych.

Byliśmy pod wielkim wrażeniem. To trzeba zobaczyć! Radość dzieci unoszonych na końskich grzbietach udzieliła się wszystkim zaproszonym. To tak, jakbyśmy przenieśli się do innego świata, w którym nieważne są choroby – tylko bycie razem.

Byliśmy zdziwieni i oszołomieni – nie mniej niż te konie na wybiegu obserwujące grających kobziarzy i maszerujących w deszczu ludzi.

Zapraszamy mieszkańców, bo jest to wspaniałe miejsce do rekreacji dla rodzin z dziećmi, niekoniecznie chorymi.



Wolontariuszki z Niemiec (Anna) i Belgii (Amelia) zatrudnione w ramach projektu European Voluntary Service



Pokaz zajęć z hipoterapii



Dzieci i konie opuszczają arenę po prezentacji swoich umiejętności



Helenowscy wolontariusze, opiekunowie i kucyk Karmel



Rozbiegane konie na terenie Ośrodka Hipoterapii Helenów

MNA - TU RODZĄ SIĘ PRZYJAŹNIE!

„ZŁOTE MYŚLI”

**dedykujemy Teresie, naszej Redaktorze Seniorce
z okazji Jej okrągłych urodzin.**

(Koleżanki i koledzy z redakcji)

Przyjaźń to najpiękniejsza rzecz, jaką człowiek może zaproponować drugiemu człowiekowi.

Bezinteresownie.

(Pino Pellegrino)

***Najlepszym przyjacielem jest ten, kto nie pytając o powód twego smutku, potrafi sprawić,
że znów wraca radość.***

(Św. Jan Bosko)

***Wykreślić ze świata przyjaźń... to jakby zgasić słońce na niebie, gdyż niczym lepszym
ani piękniejszym nie obdarzyli nas bogowie.***

(Cyceron)

Kim są przyjaciele? Jedna dusza mieszkająca w dwóch ciałach.

(Arystoteles)

***Nie idź za mną, bo nie umiem prowadzić. Nie idź przede mną, bo mogę za Tobą nie nadążyć.
Idź po prostu obok mnie i bądź moim przyjacielem.***

(Albert Camus)

Przyjaźń jest subtelną rozkoszą szlachetnych dusz.

(Safona)

Wierny przyjaciel jest lekarstwem życia.

(Księga Mądrości)

Przyjaźń jednego roztropnego człowieka jest bardziej wartościowa niż przyjaźń wszystkich głupców.

(Demokryt z Abwery)

Jeden lojalny przyjaciel jest wart dziesięciu tysięcy krewnych.

(Eurypides)

Wszystkie wielkości świata nie są tyle warte, co dobra przyjaźń...

(Wolter)

Przyjaciel - ktoś, przed kim można głośno myśleć.

(Ralph Emerson)

Nie ten przyjaciel, kto współczuje, a ten kto pomaga.

(Thomas Fuller)

Powiedz mi, kim są twoi przyjaciele, a powiem ci, kim jesteś.

(Ernest Hemingway)

Przyjaciel to człowiek, który wie wszystko o tobie i wciąż cię lubi.

(Elbert Hubbard)

Dobrych przyjaciół trudno znaleźć, a jeszcze trudniej zapomnieć.

(John Green, „Gwiazd naszych win”)

Gdyby wszyscy moi przyjaciele skoczyli z mostu, ja bym z nimi nie skoczył.

Stałbym na dole i czekał, żeby ich złapać.

(Steve Berry, „Paryska wendeta”)

Przyjaźń to nie tylko wspaniały prezent, lecz także ustawiczna praca.

(Ernest Zacharias)

***Przyjacielu, jeśli będzie ci dane żyć sto lat, to ja chciałbym żyć sto lat minus jeden dzień,
abym nie musiał żyć ani jednego dnia bez ciebie.***

(Alan Alexander Milne, „Kubuś Puchatek”)

Teresa Szymczak CZY TO JEST PRZYJAŹŃ?

Trudno zdecydowanie określić, co znaczy słowo: przyjaźń. Używane bez zastanowienia straciło swą wagę; operujemy nim przy lada okazji. Pomijam fakt, że wielu z nas określa mianem przyjaciela kota, psa czy pająka, o czym pisaliśmy w poprzednim numerze MNA. Jednak niejeden z nas wierzy, że przyjaźń prawdziwa między ludźmi istnieje.

Zapytany ktoś niespodziewanie – masz kogoś, kto jest twoim przyjacielem, może zrazu odrzec – nie mam przyjaciół, by po chwili namysłu orzec – mam dwoje. Bywa też inaczej – odpowiedź brzmi: myślałem, że mam, ale okazało się to bolesną omyłką.

Często jako przyjaciel wymieniany jest współmałżonek, członek rodziny, koleżanka z pracy, sąsiadka. Bez zastanowienia oświadczamy: Sylwestra spędziłem w gronie przyjaciół. Albo – to mój przyjaciel ze szkolnej ławy, ale dawno z nim nie miałem kontaktu. Bywa, że w gronie przyjaciół są po prostu ludzie, z którymi lubimy się zabawić, z którymi dobrze się czujemy.

Przyjaźń bywa dozgonna albo krótkotrwała, bywa bezinteresowna, albo wyrachowana, prawdziwa, bądź fałszywa. Całe tomy powstały na ten temat.

A jak sobie wyobrażamy prawdziwego przyjaciela? Tyle wyobrażeń, ilu ludzi.

„Przyjaciel to ktoś, kto rozumie twoją przeszłość, wierzy w twoją przyszłość, akceptuje cię takim, jakim jesteś” (Fryderyk Nietzsche). Skoczysz za tobą w wodę, by cię ratować, nawet jeśli nie potrafi pływać. Będzie ci wierny we wszystkich twoich poczynaniach. Stanie w obronie w trudnej sytuacji, nie opuści w potrzebie.

Takich przyjaciół opisano w niejednym opowiadaniu, niejednym poście. Ale czy ktoś, kto powiedzmy jednorazowo cię od czegoś uratuje, to już na pewno „przyjaciel”? Czy ktoś, kto wiernie towarzyszył ci do drożdzy do uzyskania matury, będzie dozgonnie „przyjacielem”? Może tylko dobrym kolegą po prostu.

Są ludzie z mnóstwem znajomych, wręcz fanów. Prawdziwego przyjaciela niektórzy mają, niektórzy nie.

Przyjaźń to ważne słowo. Pomyślmy chwilę, zanim kogoś nim określimy.

Joanna Wąsik MIŁOŚĆ I PRZYJAŹŃ

Często widywano ich razem, gdy wychodzili na spacer. Zwykle szli pod rękę. Zwracali się do siebie z szacunkiem i bił od nich jakiś spokój i łagodność. Trudno było stwierdzić, ile mieli lat, a zapytać nie wypadało. „Na oko” byli w wieku 80+. Ktoś jednak kiedyś odważył się ich zapytać: jak to się stało, że od tak wielu lat jesteście razem i wciąż się kochacie? Odpowiedzieli: bo my urodziliśmy się w czasach, kiedy gdy coś się psuło, to się to naprawiało, a nie wyrzucało...

Para staruszków. Małżeństwa od kilkudziesięciu lat. Czterdziestu, pięćdziesięciu, czasem dłużej. Znam takich wiele, spotykam je w ich domach, gdy z ramienia hospicjum chodzą, by wspomóc męża lub żonę w opiece nad towarzyszem życia w tej ostatniej drodze. I za Adamem Mickiewiczem można by sobie zadać pytanie: czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie?

Poznaję ich historie. Chętnie opowiadają mi o tym, jak się poznali, jakie mieli problemy po drodze, jakie radości. Poznaję historie ich dzieci, wnuków. Nie zawsze jest kolorowo. Czasem są to historie trudne, często piękne. Wspólnym mianownikiem tych „długodystansowych” związków jest jedno: szacunek i przyjaźń. Gdy minęło pierwsze gorące uczucie, potrafili nie popaść w zubożenie i rutynę, lecz przekuć namietność miłości w stabilizację przyjaźni. Wspólne przeżycia sprawiały, że ich więź jeszcze się pogłębiała z upływem lat.

Małgorzata Gutowska-Adamczyk PRZYJAŹŃ MIĘDZY NARODAMI

W lipcu 1968 roku spędzaliśmy wakacje u ciotki w Zakopanem. Na bazarku pod kolejką na Gubałówkę moja mama poznała słowacką rodzinę państwa V. Szukali czarnego płaszcza dla babci, a ona, jako tłumaczka, odwiedziła z nimi wszystkie sklepy przy Krupówkach. Płaszcz nie znaleźli, co nie dziwi, było lato, jednak pani Margita chyba polubiła moją mamę, gdyż wymienili się adresami, a mama obiecała, że w następne wakacje ich odwiedzimy.

Po wejściu wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji dostaliśmy od niej list. Opisywała agresję wojsk, w tym polskich. Nie obraziła się na wszystkich Polaków i podtrzymała wcześniejsze zaproszenie.

Byłam zbyt mała, aby pamiętać urzędnicze korowody, ale rodzice wszystkie pokonali i rok później przejechaliśmy pół Polski, docierając w końcu do przepięknego winiarskiego regionu Zemplínskej Siravy i wioski przypominającej willowe przedmieście.

Zostaliśmy przyjęci po królewsku, jak najmilsza, oczekiwana od dawna rodzina. Pani Margita przygotowywała dla nas regionalne smakołyki (nie wszystkie mi smakowały), a pan Michał obwoził nas po ciekawej turystycznie okolicy, pokazując jezioro w górach, o którym mówili Morskie Oko, ruiny zamku oraz ogromne, niedawno oddane do użytku turystycznego sztuczne jezioro, z przypominającym kosmiczny dysk budynkiem restauracji.

Spędziliśmy na Słowacji dwa cudowne tygodnie, a w następnym roku powtórzyliśmy naszą eskapadę. Potem oni nas odwiedzili, choć nasze atrakcje nie mogły się równać ze słowackimi.

Korespondencja między Valami a moją rodziną trwała kilka lat, aż wreszcie bez wyraźnego powodu się zakończyła.

Nie pamiętam, skąd dowiedziałam się, że pan Michał nie żyje, potem odeszła jego żona. Wiedziałam, że ich syn zajmuje wysokie stanowisko rządowe i mieszka w Bratysławie. Jakimś cudem go odnalazłam w latach dziewięćdziesiątych, kiedy wybieraliśmy się z mężem i dziećmi do Wiednia.

Specjalnie pojechaliśmy przez Bratysławę, w Michale nie było już jednak tego ciepła, którym emanowali jego rodzice, tej otwartości i bezinteresownej życzliwości. Nie zaprosił nas nawet do domu. Spotkaliśmy się w kawiarni, on narzekał na politykę, był zgorzkniały, odwrotnie niż my. Nie dogadaliśmy się i nie spotkaliśmy ponownie. Jednak jego rodziców wspominam z wielką serdecznością i wdzięcznością, że potrafili odróżnić zwykłych Polaków, od najeżdźców, którymi wtedy dla nich były również nasze wojska. Zarówno dla mnie, jak i dla mojej siostry to ważne wspomnienia, nasz pierwszy kontakt z zagranicą i obcokrajowcami. Ciepły i przyjazny, do dziś wart wspomnienia.

W winnicy
W środku - najmłodsza uczestniczka



Dawno, dawno temu, kiedy nie było komputerów, internetu, smartfonów i wydawało się, że na świecie jest jakoś bezpieczniej, dzieci większość wolnego czasu spędzały, biegając samopas.

Mieliśmy wtedy swoją paczkę. My, czyli grupa dziewczynek i chłopców z sąsiedztwa w wieku ok. 6-10 lat. Jej skład był dosyć stały, chociaż czasem ktoś dochodził lub odchodził, na przykład w wyniku przeprowadzki całej rodziny. Okupowaliśmy pole nieużytków w Falenicy - teren tak zwanego Zaporoża. O tym, jak wielki był to obszar, niech świadczy fakt, że dzisiaj znajduje się tam kolonia ok. dwudziestu domów. Dla dzieci to był cały świat! Tego terytorium musieliśmy czasami bronić przed sąsiednimi „gangami” (czasami zawieraliśmy z nimi sojusze, na przykład, żeby pograć w piłkę), ale głównie zajmowaliśmy się zabawą. Chodziliśmy po drzewach, paliliśmy ogniska, w rozrośniętych krzakach bżów budowaliśmy domy i zakładaliśmy rodziny. Meble i przedmioty codziennego użytku do naszych siedzib znajdowaliśmy na śmietnikach. Pamiętam swoje wielkie szczęście, prawie euforię, gdy znalazłam prawdziwy skarb – wałek od tapczanu, który stał się wersalką w naszym domku. Bawiliśmy się w Indian i w dzieci z Bullerbyn, tropiliśmy wymaganych przestępców (zapewne Bogu ducha winnych sąsiadów, ale co do tego nie mam pewności). Stworzyliśmy nawet nielegalne schronisko dla psów (jedzenie dla nich wykradaliśmy z zamrażarek w naszych domach – z trudem zdobyte, wystane w kolejkach kielbasy i szynki). Bywało niebezpiecznie, na przykład kiedy eksplorowaliśmy spalone falenickie świdermajery, albo bawiliśmy się w wojnę w budowlanych wykopach. Na szczęście rodzice w tamtych czasach wierzyli, że nic nam się nie stanie.

Niewiele później, już z inną grupą zaprzyjaźnionych dziewczynek, postawiłyśmy stworzyć bardziej oficjalną, zorganizowaną paczkę. Niestety na spotkaniu założycielskim ktoś rzucił myśl, że nie powinniśmy skupiać się na zabawie, na swoich egoistycznych sprawach, tylko zająć się służbą społeczeństwu. I tak powstał Klub Pomocy Niepełnym inspirowany „Niewidzialną Ręką”. Na początek spisałyśmy statut i zebrałyśmy kilka cotygodniowych składek (wynosiły 50 groszy). A co dalej? Na co przeznaczyć nasze fundusze? Zbliżały się Święta, postanowiliśmy z tej okazji zapewnić wybranym niepełnym upominki. Wytropiłyśmy pewnego miło wyglądającego starszego pana i kupiłyśmy mu prezent – w Wigilię znalazł na ścieżce do swojego domku pięknie owiniętą paczuszkę z napisem „Od Klubu Pomocy Niepełnym” a w środku... krem przeciwzmarszczkowy. Kiedy indziej postanowiliśmy zrobić pewnej pani zakupy. Wysła biedaczka w mróz, z siatką w rękę. Siłą perswazji niemal zmusiliśmy ją do oddania siatki i portfela. Stała kilkanaście minut, przytupując z zima, aż wróciłyśmy z kilkoma kajzerkami i butelką mleka.

W naszych paczkach zdarzały się oczywiście konflikty, zazdrości, walka o przywództwo, krótkotrwałe sojusze, ale jakoś większość problemów udawało się szybko rozwiązywać.

Myszę, że łączyła nas przyjaźń. Nie taka na całe życie, jedna jedyna najważniejsza Przyjaźń, ale na pewno coś więcej niż zwykła znajomość czy koleżeństwo. Świetnie się bawiliśmy, tyle rzeczy razem robiliśmy, a pomysłów mieliśmy mnóstwo. Gadaliśmy o wszystkim i o niczym, snuliśmy marzenia. Tak bardzo ich lubiłam!

Mirosław Perzyński **PRZYJAŹŃ PONAD EPOKAMI**

Jak zwykle od lat jeden letni miesiąc wakacji spędzałem u mojej ciotki na mazowieckiej wsi. W lipcu 1971 r. w gospodarstwie pojawił się nowy mieszkaniec. Pan Stanisław, mężczyzna ok. 80 – tki, w zamian za 4 morgi pola dostał od ciotki tzw. „dożywocie” i zamieszkał w starej jednoizbowej chałupie z alkierzem. Miał siwe wąsy a'la Wincenty Witos, na głowie nieodłączną maciejówkę, surdut sukieniny przepasany paskiem, a na nogach buty z cholewami. Samotny bezdzietny mężczyzna okazał się ciekawym człowiekiem i miłym rozmówcą.

Urodzony jeszcze w zeszłym wieku, znalazł pracę w Warszawie, gdzie wyuczył się ciesielstwa. Pracował przy budowie mostu Poniatowskiego (wtedy most nosił imię imperatora Mikołaja II). Mieszkał z grupą robotników na Pradze. Gdy wybuchła Wielka Wojna, jako poddany carski zmobilizowany został do armii rosyjskiej, ale nie chciał walczyć za cara. Zdezercerował, a później bronił Warszawy przed armią rosyjską tylko inną, bo sowiecką. Następnie wrócił na wieś by razem z rodzicami prowadzić gospodarstwo. A potem znów wybuchła wojna.

Lubiśmy rozmawiać o wszystkim, siedząc nad sadzawką. Niestety wiekowy pan palił namiętnie, na co miałem sposób - siadałem z wiatrem. Nie chciał, aby zwracać się do niego per „pan”. Mimo wszystko posługiwałem się tą formą, ale zupełnie nie odczuwałem różnicy wieku. Stanisław pogryzał cukierki, o których dostawę dbałem skrupulatnie. Okazało się, że dobrze zna język rosyjski - przecież skończył 4-klasową carską szkołę wstępną. Bardzo się interesował, jak jest w Warszawie, której nie widział ponad 50 lat. Opowiadałem mu o nowych osiedlach z wielkich bloków, o Pałacu Kultury, mostach, nowych trasach, nawet o Ogrodzie Zoologicznym, którego przed I wojną jeszcze nie było.

Bardzo lubił konie i psy. Tak jak ja. Chodziliśmy razem do lasu na grzyby w towarzystwie psich burków mojej ciotki. Wiekowe oczy pana Stanisława okazywały się bardziej sprawne w odnajdywaniu leśnych płodów niż takiego okularnika jak ja.

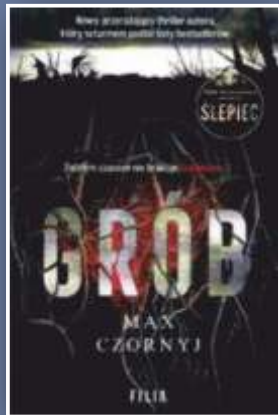
Miał ciekawe pomysły. Proponował zawody w rąbaniu drzewa, w których pomimo swoich osiemdziesięciu lat wygrywał ze mną bezapelacyjnie.

Nie pisaliśmy do siebie, a telefonów (tylko jeden u sołtysa) i komputerów wtedy nie było. Ale zawsze niecierpliwie oczekiwałem początku wakacji i kolejnego pobytu na wsi, aby móc być w towarzystwie pana Stanisława. We wrześniu 1973 r. dostałem list od ciotki, że pan Staszek zmarł. Nie mogłem być na pogrzebie, gdyż właśnie tydzień wcześniej po nieudanej próbie dostania się na Wydział Filozofii UW podjąłem pracę. Pojechałem w niedzielę i poszedłem na cmentarz. Późno wrześniowe słońce złociło liście topoli i białe pnie brzoź. „Wsie my, wsie my w etoj żizni tlienno...” - przypomniał mi się fragment z Jesienina. Patrzyłem na postać Mistrza na drewnianym krzyżu. „Pozwól mi jeszcze się z nim spotkać” – szepnąłem. Dookoła panowała wielka cisza mączona delikatnym poszumem liści.

NA WAKACYJNE MIESIĄCE - NOWOŚCI WYDAWNICZE W BP PRZY TRAWIASTEJ



Ostatni tom trylogii historycznej umiejscowionej w Nowej Zelandii



Polski thriller kryminalny



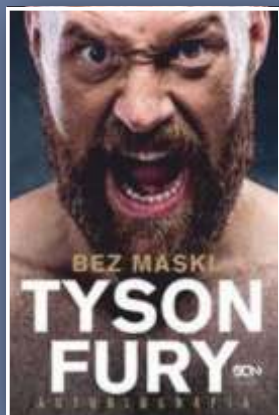
Thriller psychologiczny z akcją w czasach po katastrofie klimatycznej



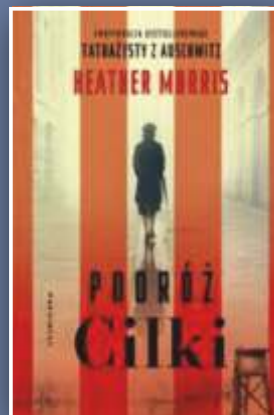
Horror z akcją osadzoną w starej amerykańskiej rezydencji



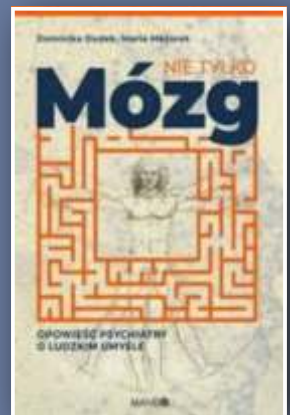
Kolejny tom popularnego cyklu sensacyjno-kryminalnego



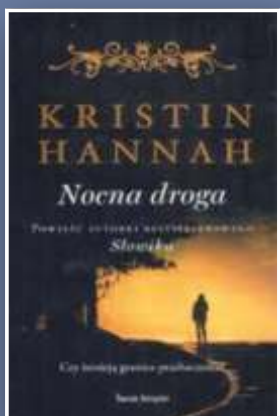
Autobiografia jednego z najsłynniejszych pięściarzy świata



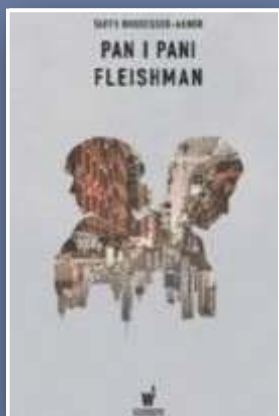
Kontynuacja bestselera „Tatuażysta z Auschwitz”



Popularnonaukowa opowieść o ludzkim umyśle



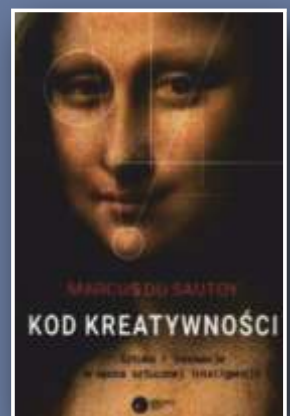
Literatura piękna. Barwna powieść obyczajowa



Pełna humoru współczesna powieść obyczajowa



Powieść obyczajowa, romans



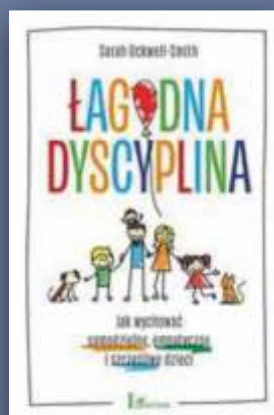
Popularnonaukowa, o kreatywności w różnych dziedzinach życia



Popularnonaukowa, o kompetencjach zawodowych i miejscu pracy



Historyczna, nawiązująca do II wojny światowej i obozów śmierci.



Popularnonaukowa, dla rodziców



Z ŻYCIA WZIĘTE

Agnieszka Lorek-Marinczenko

STARO-CERKIEWNO-SŁOWIAŃSKI

*Czasem trzeba zrobić krok, czy dwa w tył,
by móc podążać w wytyczonym przez siebie celu.
Dobrze, gdy ktoś nas do tego przekona.*

Na parapetach uczelnianych okien przycupnął zmrok. Wąski korytarz rozjaśniły szeregi oszczędnych jarzeniówek. Którą to już godzinę czeka w kolejce na ścięcie głowy? Po czwartej Marta straciła rachubę. No i które to już będzie „ścięcie głowy”? Zdaje się, że szóste.

Ponownie spojrzała do notatek. Za zamkniętymi powiekami odczytywała dobrze sobie znane schematy służące analizie staroruskich tekstów. W zakamarkach umysłu zabytki piśmiennictwa staroruskiego przeplatały się z palatalizacjami, grupami tortowymi, jerami, jaciami, „okaniem”, „akaniem”, ustawami, z wpływami południowosłowiańskimi... „Се азъ Мъстиславъ Володимиръ сынъ, държа Руську землю, въ свое княжение”¹ – bezgłośnie powtarzała prawidłową wymowę, uważała na odpowiedni akcent.

Wtem zaskrzypiały drzwi gabinetu pani docent dr hab. Olek, zza których wytoczyła się kolejna ofiara. Nabiegła wypiekami twarz wyrażała wszystko.

– Następnego ulala! – szepnął ktoś.

Zdenerwowana ofiara docent Olek ze złością cisnęła notatki wprost do śmietnika. Zamaszystym gestem zgarnęła szeroką torbę. Wyszczała, że ma dość i rzuca te niedorzeczne studia.

– Teraz twoja chwila prawdy! – kolega wskazał na zakopaną dotychczas w notatkach Martę.

Na nogach z waty, z duszą na ramieniu przekroczyła próg gabinetu.

– A, to pani znowu – powitała ją ironicznie docent Olek – nadmiar wysokiego mniemania ma w sobie, wie o tym? Ale twoje prawo, dziecino. Siadzie!

Studentka spojrzała na życzliwego doktora Enkiewicza, który jak zwykle próbował złagodzić nastawienie wyższej stopniem naukowym koleżanki. Bezskutecznie. Przyjaznym wzrokiem dał Marcie znać, by wzięła głęboki oddech i wytrwała do końca. Wiedział, że jest dobrze przygotowana, bowiem wiele czasu poświęcił zarówno jej, jak i innym żakom podczas dodatkowych dyżurów. Wiedział także, że porządne przygotowanie młodego człowieka, niestety, wcale nie jest dla jego koleżanki wyznacznikiem zaliczenia egzaminu. Szanowna pani docent lubiła poniżać, podcinać skrzydła młodym, co jemu samemu sprawiało ogromną przykrość. Wyglądało to tak, jakby zazdrościła studentom ich młodego, pełnego nadziei życia. Zapewne zazdrościła ich świeżości, niewypalonych jeszcze nadziei – nieraz myślał. Z kolei tego, czemu taka była – nigdy nie rozumiał.

Egzamin zakończył się tak samo jak wcześniejsze. Po czterdziestu minutach podchwytliwych pytań, za nic biorąc sobie fakt, że dziewczyna zasłużyła na ocenę pozytywną, egzaminatorka nadal zadawała coraz to bardziej wymyślne pytania, aż w końcu studentka... dała za wygraną. Na nic zda się protest doktora. W odpowiedzi docent Olek syknęła, by kolega zajął się czymś innym. Okrągłe okulary sprawiały wrażenie, jakby naładowana złą energią starsza kobieta miała zaraz porazić mocą swej niechęci.

Marta wyszła bez kurtuazyjnego „do widzenia”. Nie miała ochoty więcej widzieć na swej drodze rozdętego ego prześladowczyni.

– Pani Marto! – Już na korytarzu, zaciągając się papierosem doktor Enkiewicz (zawsze dużo palił podczas przerw), skinął ku niej przyjaźnie, przywołując ją do siebie.

Z budynku wyszli na rozświetloną ulicznymi latarniami aleję.

– Pani Marto, ten egzamin, podobnie, jak poprzednie, był zdany. Ja to wiem i podpisuję się pod nim. Wiem, że moje zdanie nie liczy się dla pani Olek, ale nie wolno się poddawać. Znowu uderzymy!

– Dziękuję za wszystko, co pan zrobił, ale dosyć! Ona nigdy nie pozwoli mi się tutaj uczyć. Za nic ma moje dobre noty z innych przedmiotów i w głębokim poważaniu moją znajomość diachronii w staroruskim. Wiem, że orłem z tego przedmiotu nie jestem, ale nigdy nie zdołam tej kobiety przekonać. Zdecydowałam. Odchodzę.

– Tylko nie to! Proszę uważnie mnie wysłuchać.

Pokastując od czasu do czasu, opowiadał, czego niedawno się dowiedział. Otóż docent Olek od października bierze kilkanaście miesięcy urlopu na poratowanie zdrowia. Może warto do końca bieżącego roku akademickiego przejść na dziekanek i wrócić na jesieni? Oczywiście łączy się to z powtarzaniem roku. Jednakże z uwagi na dobre oceny, jakimi usiany był indeks Marty, na pewno większość, o ile nie wszyscy wykładowcy, zgodzą się przepisać noty.

– Rok, który przyjdzie pani powtórzyć, nie będzie stracony! W tym czasie skupi się pani na dogłębniejszym studiowaniu literatury rosyjskiej i gramatyce synchronicznej współczesnego języka rosyjskiego. Przecież właśnie to panią najbardziej interesuje! W życiu czasem trzeba zrobić krok czy dwa w tył, by móc podążać w wytyczonym przez siebie celu. Chociaż nie do końca jestem pewien, czy w pani przypadku będzie to krok w tył. Widzę w tym planie same korzyści. No i najważniejsze, podczas rocznej nieobecności docent zbierze się inna komisja, nikt nie pozna historii pani zmagania z... Wiadomo. Zaczniemy wszystko z carte blanche. Proszę wykorzystać nadarżającą się szansę. Te niewykorzystane lubią się mścić, proszę mi wierzyć, a wiele już przeżyłem. Rusycystyce z panią jest do twarzy – zażartował w swoim stylu.

Doktor – przyjaciel nie pomylił się w niczym. Czas spędzony na powtarzaniu roku poświęcił poszerzaniu wiedzy o literaturze i współczesnym języku rosyjskim. Z dobrej stała się bardzo dobrą studentką. Znowu uwierzyła w siebie, w słuszność wyboru studiów, w to, że czasem trzeba zrobić krok w tył, by urzeczywistnić swoje późniejsze marzenia.

Starocerkiewnosłowiański zaliczyła...

¹) „Oto ja Mścislaw, syn Włodzimierza, dzierżąc ruską ziemię pod swym władaniem...” – fragment tekstu z Ewangeliarza Wielkiego Księcia Kijowskiego Mścislawa (rękopis sporządzony w przekładzie staro-cerkiewno-słowiańskim w latach 1113-1117). Tłumaczenia niniejszego fragmentu dokonała autorka opowiadania.

ZBIEG OKOLICZNOŚCI

Pomimo obfitego deszczu w ostatnią podróż Zdzisława Samborskiego odprowadziło wiele osób. Znakomity chirurg uratował bowiem wiele ludzkich istnień, wróżono mu świetlaną przyszłość zawodową, a nawet polityczną. Niestety, rak trzustki szybko zakończył jego zaledwie czterdziestoletnie życie. Wśród żałobników byli koledzy lekarze, pielęgniarki, dyrekcja kliniki, rektor i dziekani z uczelni, studenci i bardzo wielu wdzięcznych pacjentów. Nie było jednak nikogo z rodziny – z tego prostego powodu, że Samborski takiej nie posiadał. Rodzice zginęli w wypadku, był jedyńcem, wychowywała go zamożna babcia, która zasnęła na zawsze parę dni po zobaczeniu dyplomu magisterskiego wnuka. Nie założył rodziny, ale kilka młodych kobiet w czerni miało podejrzenie zaczerwienione oczy. Rafał Wiler przyglądał się dwóm z nich. Nie słyszał o żadnej znajomej lub kochance Samborskiego, chociaż byli przyjaciółmi od studiów, razem się doktoryzowali i pracowali w tej samej warszawskiej klinice. W sprawach uczuciowych Zdzisław był zawsze skryty i jego życie prywatne spowijała tajemnica. Zajmowali wspólny gabinet w szpitalu i słuchali tej samej muzyki. Rafał żałował, że już nigdy nie wybierą się na koncert ani nie zagrają w ulubionego golfa.

Nagle poczuł zapach dymu tytoniowego. Nie musiał się odwracać, by dowiedzieć się, kto na pogrzebie sięgnął po papierosa. Jego żona, Antonina, lubiła prowokować. Stylizowała się na silną i niezależną osobowość. Była starsza od Rafała o trzy lata, ale nieźle wyglądała i wiedziała o tym. Dwukrotnie zdradziła męża, on jej po długim kryzysie wybaczał, ale paradoksalnie to utwierdziło Antoninę w przekonaniu, że Rafał jest słabym facetem i nie musi walczyć o jego miłość, bo on jej zawsze wybaczy. Właśnie teraz z papierosem, w okularach przeciwsłonecznych Prady, w dopasowanej do figury szarej garsonce i grafitowym płaszczu Hermenegildo Zegny wysyłała kolejne sygnały, że ponownie jest gotowa na „chwileczkę zapomnienia”. Rafała to już dawno przestało boleć. W końcu zorientował się, z kim wziął trzydziestoletni kredyt na piękną willę w Konstancinie, dzieci nie mieli, a pewna urocza anestezjolożka dawała mu to, czego zawsze i na próżno oczekiwał od Antoniny. Dom traktował jak hotel, a małżonce to nie przeszkadzało. Po pogrzebie część lekarzy, ci, co akurat nie mieli dyżuru, zebrała się w restauracji, by wspominać zmarłego kolegę. Rafał wraz z innymi spełniał toasty za pomyślność duszy. Antonina poszła do kosmetyczki, przynajmniej tak twierdziła. Wspominki trwały kilka godzin i dopiero nadejście zmroku rozgoniło nieco podpite towarzystwo.

Rafał zamówił taksówkę, ale nie pojechał prosto do domu. Chciał wziąć jeszcze kilka dokumentów z samochodu, który czekał na niego pod cmentarzem. Zamierzał po pogrzebie wracać do Konstancina, ale koledzy namówili go na parę szklaneczek whisky w intencji Zdzisława. Dlatego pozostawił na strzeżonym swoją dumę – nowiutkiego Mustanga Vignale w kolorze burgunda. Kręcił się przy nim jakiś mężczyzna w skórzanej kurtce i bluzie z kapturem. Rafał błyskawicznie wysiadł z taksówki.

- Mogę jakoś pomóc?

Mężczyzna odwrócił się i rozłożył ręce w geście przeprosin.

- Spokojnie, gościu. Ładna bryka.

- Mnie też się podoba.

- I to chyba chodzi, prawda? Siemano – mężczyzna kiwnął głową i znikł między pojazdami.

Rafał obejrzał auto, śladów włamania nie było, wyjął dokumenty leżące na tylnym siedzeniu i wrócił do taksówki. Westchnął ciężko. Kierowca odwrócił się do niego.

- Zostawia pan samochód? Wygląda na to, że pana namierzili...

- Jestem po łyskaczu, nie wsiadę za kółko.

- Wie pan, tu zaraz kolega mieszka, też taksówkarz. Zadzwoń po niego, pojedzie pańskim autem, my za nim, pod domem wjedzie pan do garażu, a ja kolegę zabiorę. Dwie stówki. Rafał zgodził się z ochotą i kierowca sięgnął po telefon. Kiedy po piętnastu minutach wyjeżdżali z parkingu, minął ich Mustang w błyszczącym kolorze.

- Ma pan fart, a on nie – zażartował taksówkarz – Pana namierzili, a jemu auto skroją.

Rano Rafał Wiler wypił kawę, zjadł drożdżówkę, które przynosiła pani Tatiana, ukraińska pomoc domowa. Nie odczuwał żadnych dolegliwości po wczorajszej popijawie – po powrocie uzupełniał jeszcze parokrotnie zapas płynów w organizmie. Antoniny nie było. Tatiana poinformowała, że wzięła drugi samochód i pojechała na tajski masaż. Rafał podziękował za wiadomość, chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że tajski masaż mógł się okazać wszystkim, nawet szwedzkim saksofonistą. Pani Tatiana słuchała wiadomości na małym, kuchennym telewizorku. Zmartwiła się, że znowu zginęli ludzie, tacy młodzi. Rafał spojrzał na ekran. Reporter zdawał relację ze strzelaniny, która odbyła się w nocy. Porachunki gangsterskie dotyczyły tym razem niewypłaconych pieniędzy za dostawę kokainy.

- Osiemset tysięcy dolarów?! Kto kiedyś zobaczy takie pieniądze?! – jęknęła pani Tatiana.

- Nikt, kto uczciwie pracuje, pani Tatiano, nikt!

Razem obejrżeli następne wiadomości o zagrożeniu epidemią koronawirusa, jeszcze mocniej zasmuciły Ukrainkę. Wiler nie poruszał tego tematu, bo wiedział, jak źle są przygotowani do epidemii w Polsce. Zszedł do garażu. Zanim podniósł bramę, przypomniał sobie, że anestezjolożka prosiła o pożyczanie roweru. Oprócz ukochanego Gazelle miał złożonego białego Dahona, w sam raz dla uroczej dziewczyny. Otworzył klapy bagażnika i zobaczył nieznaną torbę. W pierwszej chwili posądzał Antoninę, że rozporządza jego autem, ale po chwili zrezygnował z podejrzeń. Torba była zbyt tania, do czegoś poniżej dwóch tysięcy żona się nawet nie zbliżała. Rozsunął zamek i zajrzał do środka: w torbie było dużo paczek studolarowych banknotów. Bardzo dużo. Rafał zamknął bagażnik. Gorączkowo myślał o wydarzeniach ostatniej doby. Parking, pogrzeb, spontaniczna konsolacja taksówka, parking, dom... Zaraz, zaraz... Na parking faceta przy bagażniku, drugi taksówkarz, drugi Mustang... Wiadomość o strzelaninie z powodu ośmiuset tysięcy dolarów... Rafał oparł się o ścianę. To niemożliwe, żeby sposobem przekazania pieniędzy dostarczycielowi kokainy było włożenie ich do pozostawionego na przycmentarnym parkingu Forda Mustanga w kolorze czerwonego wina. Ale jak inaczej wytłumaczyć obecność setek tysięcy dolarów w bagażniku własnego samochodu?! Rozbrojenie i uzbrojenie alarmu było prymitywnym zadaniem dla fachowca... Rafał zastanawiał się, co zrobić. Prędzej czy później gangsterzy do niego dotrą. Na pewno mieli swoje wtyki w policji, w urzędach dzielnicowych. Z drugiej strony sam powiedział pani Tatianie, że takich pieniędzy nie zarobi się uczciwie. A one leżały w bagażniku jego auta... W tym momencie zadzwonił telefon.



foto: Krzysztof Wellman

Wiler do kliniki przyjechał taksówką. Wszedł do gabinetu, który zajmował do spółki z nieżyjącym już Zdzisławem Samborskim. Zanim zdjął marynarkę, rozległo się pukanie do drzwi. Pani Kryśia z kadr przyniosła dokumenty Samborskiego. Nie wiedziała, co ma z nimi zrobić, zmarły nie miał przecież rodziny. W tej sprawie zadzwoniła do najbliższego przyjaciela i Rafał obiecał, że się nimi zaopecuje. Po wyjściu kadrowej zajął do przyniesionych dokumentów. Pośród papierów był dyplom Akademii Medycznej, kopia doktoratu i habilitacji. Z szuflady Rafał wyjął portfel Samborskiego. Nieboszczyk trafił na intensywną terapię z prosto z dyżuru, więc przyjaciel zaopecował się rzeczami osobistymi. Dowód osobisty został wyjęty w związku ze sporządzaniem aktu zgonu, ale prawo jazdy i dowód rejestracyjny Audi Q5 tkwiły w przegródkach. W szufladzie leżały też kluczyki do samochodu.

Audi Q5 zbliżało się do granicy Austrii ze Szwajcarią, Rafał nie czuł zmęczenia mimo dwunastej godziny jazdy. W myślach powtarzał sobie plan, który urodził się dwanaście godzin temu nad portfelem zmarłego kolegi. W bagażniku oprócz torby z pieniędzmi były dwie jego walizki z ubraniami i torba na zakupy wypełniona rzeczami, które wyniósł po kryjomu ze szpitala. Na przednim siedzeniu leżała aktówka z portfelem Samborskiego. Słońce zachodziło i światło robiło się pomarańczowe. Rafał przed Bludenz skręcił z autostrady na pusty parking. Piaszczysta droga na końcu parkingu prowadziła w głąb lasu. Przejechał tą drogą jakieś trzysta metrów. Pod rozłożystym dębem zatrzymał auto. Z bagażnika wyjął małą łopatkę.

Samborski miał ambicję być samowystarczalnym w każdej sytuacji, oprócz łopatki miał w bagażniku siekierkę, nóż, kilka latarek. Miał zadatki na preppersa. Rafał wykopał dół pod drzewem. Przełożył pieniądze do plastikowych szczelnych pojemników, które zabrał ze szpitala. Zostawił sobie dwadzieścia tysięcy dolarów. Zasypał dół, zamaskował gałęziami i mchem. Łopatką wyciosał na dębie „V” – jak Victoria. Wsiadł do auta i odjechał.

Szwajcarię wszyscy turyści wspominają jako kraj pięknych widoków. Rafał nie miał głowy do podziwiania krajobrazu, ponieważ jego myśli zaprzętała dalsza realizacja planu. Jechał drogą prowadzącą do Zurichu. W okolicach Landquart znowu zjechał w las. Była jasna, księżycowa noc. Rozlał we wnętrzu samochodu dwa litry rozpuszczalnika. Trzeci litr wlał do bagażnika i odblokował oparcie tylnej kanapy. Położył na trawie skórzaną teczkę i spryskał lewą stronę teczki resztką płynu. W prawej części teczki były dokumenty Samborskiego: prawo jazdy, dowód rejestracyjny, dyplom lekarski i inne. Podpalił teczkę i dopilnował, by ogień strawił lewą połowę. Z torby lekarskiej wyjął silny środek znieczulający i posmarował nim twarz. Stłukł kupioną w Austrii szklaną butelkę z wodą i kilkakrotnie pociął sobie twarz. Następnie wsiadł do samochodu i wrócił na drogę. Samochody jeździły bardzo rzadko. Po kilku kilometrach, krzywiąc się z bólu, bo znieczulenie przestawało działać zjechał na dużej szybkości z drogi i uderzył w drzewo. Szyba przednia rozleciała się, poduszki wystrzeliły i Rafał o mało nie zemdlał. Wypełzył z samochodu z nadpaloną teczką w rękę. O mało nie wył z bólu, bo prawdopodobnie połamał żebra i nogę. Ostatkiem sił podpalił zapalniczką napełnioną rozpuszczalnikiem butelkę po coli i rzucił nią w samochód. Płonące Audi Samborskiego było ostatnim widokiem, który zapamiętał. Leżał nieprzytomny, gdy auto wybuchło. Nie mógł też widzieć nadjeżdżającego bułgarskiego TIRa i wyskakującego wąsatego kierowcy z gaśnicą. W szpitalu w Chur zsztyt Wilerowi pociętą twarz i opatrzone inne obrażenia. Żebra miał tylko potłuczone, a nogę zwiczną. Policja szwajcarska miała na głowie zagrożenie epidemią koronawirusa, więc odnotowała zdarzenie jako nieszczęśliwy wypadek, odholowała auto na parking, a raporty trafiły do archiwum. Traf chciał, że po czterech dniach zderzyły się ze sobą dwa autokary pełne turystów wracających z urlopów na nartach. Policja i strażacy przez kilkanaście godzin wydobywali rannych i zabitych z pojazdów, które spadły z drogi do płynącego kilkanaście metrów niżej potoku. Karetki jeździły non stop, w salach operacyjnych pracowano bez przerwy, gdy nagle jeden z chirurgów przewrócił się na podłogę ze skalpelem w rękę. Stwierdzono zawał i przewieziono chorego lekarza na kardiologię. W szpitalu zapanowała panika, bo poszkodowanych przybywało, a zabrakło jednego z wykwalifikowanych i doświadczonych operatorów. Wiler wstał z łóżka i kuśtykając na ortezie, zaoferował swoje usługi. Po dziesięciu minutach rozmowy z ordynatorem stał w fartuchu i maseczce nad dzieckiem z ranami jamy brzusznej. Operował przez czternaście godzin bez przerwy, uratował jedenaścioro dzieci, potem zemdlał i po czterogodzinnym śnie wrócił na salę operacyjną. Po trzydziestu godzinach wszyscy ranni leżeli w szpitalu, a ich życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo. Minister zdrowia i komendant główny policji nagrodzili brawami personel szpitala, a dyrektor podkreślał zasługi pacjenta, który w krytycznym momencie stanął na posterunku i wykazał się imponującą wiedzą i umiejętnościami chirurgicznymi. Epidemia koronawirusa zataczała coraz szersze kręgi. Pochłonięte niezwykłym zagrożeniem urzędy i instytucje nie zwracały szczególnej uwagi na sprawy codzienne i banalne. Jeżeli dokumenty i okoliczności były przeciętnie wiarygodne, załatwiano petentów szybko i sprawnie, by zmniejszyć kolejkę.

Konsulat polski wydał Rafałowi dokumenty na nazwisko Samborski, dyrektor szpitala zaproponował natomiast etat na oddziale chirurgii miękkiej w Chur. Rafał przyjął propozycję i warunki finansowe. Zależało mu na koncie bankowym, które mógł założyć jako osoba zatrudniona w Szwajcarii. Szczęśliwy dyrektor dał mu sowity rabat i na koszty leczenia wystarczyło osiemnaście z dwudziestu tysięcy posiadanych dolarów. Rany na twarzy zabił się, nie wyglądał wprawdzie jak Samborski, ale już nie przypominał Wilera. Znalazł niedaleko w Davos dobrze notowany gabinet chirurgii plastycznej i zapisał się na zabieg poprawienia urody.

Jechał wypożyczonym u Hertza samochodem do Austrii. Za dwadzieścia godzin miały być wprowadzone restrykcje na granicach, obowiązek kwarantanny i temu podobne przepisy. Minął Bludenz i po kilkunastu kilometrach zjechał z autostrady na znany parking. Odnalazł dąb ze znakiem V, wykopał pojemniki z pieniędzmi i wrócił do Szwajcarii. Nie pojechał jednak do Chur, tylko dalej, do Lucerny. Przenocował w hotelu i rano następnego dnia rozpoczął wędrowkę po bankach. Instytucje finansowe w Szwajcarii są znane ze swojej sprawności i dyskrecji, ale założenie ośmiu kont w ośmiu bankach trochę jednak trwało. Po siedemnastej Rafał wrócił zmęczony do hotelu, ale wreszcie zadowolony. W portfelu miał piętnaście tysięcy dolarów i osiem kart kredytowych na nazwisko Zdzisława, dowód osobisty i od pięciu dni tymczasowy paszport. Urzędnicy konsulatu na widok oficjalnego podziękowania od rządu szwajcarskiego nie robili żadnych trudności. Postanowił to uczcić. Z automatu telefonicznego w hotelu zadzwonił do domu. Mimo wszystko czuł się nieco odpowiedzialny za dom, panią Tatianę, najmniej za Antoninę. Odebrała pani Tatiana, Rafał zmienił głos i przedstawił się jako miejskie wodociągi (nic innego nie przyszło mu do głowy). Usłyszał, że „pani Antonii” nie ma, jest tylko pan Witkowski i czy go poprosić. Rafał podziękował i odłożył słuchawkę. Obecność Krystiana Witkowskiego, wschodzącej gwiazdy warszawskiej neurologii oznaczała, że Antonina wzięła sprawy w swoje ręce.

Zjadł doskonałą kolację we francuskiej restauracji. Zadzwoniła jego komórka. Dzwoniła Juanita Gonzalez, trzydziestolatka z Buenos Aires, piękna brunetka, którą operował kilka tygodni temu w Chur. Juanita była wraz z rodzicami w Davos, właśnie wyszła ze szpitala i zapraszała w imieniu ojca jej „znakomitego polskiego doktora” jutro na kolację. Rafał przyjął zaproszenie, wymienili kilka uprzejmości, które właściwie już były flirtem i zakończył rozmowę. Dopił doskonałego Pomerola. Argentyna? Czemu nie? Zmienił nazwisko na Gonzalez, co na pewno spotka się z aprobatą teścia, przeniesie pieniądze do banku na Kajmanach i Zdzisław Samborski zniknie z powierzchni tej planety razem z Rafałem Wilerem. Wyszedł z restauracji. Postanowił się przejść i wybrał drogę do hotelu przez ciemny park. W tym parku zaatakowało go dwóch narkomanów. Byli na głodzie i musieli zdobyć pieniądze. Użyli noży. Nie zrozumieli, dlaczego umierający mężczyzna śmiał się bezgłośnie.

Razem tworzymy INFORMATOR ANIŃSKI

Rada osiedla: Lech Pajchel (przewodniczący), Agnieszka Skowrońska (wiceprzewodnicząca), Michał Kozuchowski (wiceprzewodniczący), Agnieszka Cichocka, Iwona Kaczyńska, Tomasz Biczal, Tadeusz Szumowski, Marek Żukowski
Siedziba: ul. V Poprzeczna 13, 04-611 Warszawa;

tel: 602 254 350

mail: lpajchel@radni.um.warszawa.pl

Biblioteka Publiczna w Dzielnicy Wawer m.st. Warszawy

ul. Trawiasta 10, 04-618 Warszawa

tel. (22) 815 33 21

mail: sekretariat@bibliotekawawer.pl

Jadłodzielnia - punkt dzielenia się produktami żywnościowymi

Sąsiedzka Grupa Pomocowa „Radość z pomagania”

i Klub Sztuk Walki Uniq Fight Club

ul. VI Poprzeczna 23, 04-620 Warszawa

Ośrodek Sportu i Rekreacji m.st. Warszawy w Dzielnicy Wawer

ul. V Poprzeczna 22, 04-611 Warszawa

tel. (22) 44 370 99

http://osir-wawer.warszawa.pl/

Pracownia Działań Twórczych "Chata z Pomysłami"

Środowiskowy Dom Samopomocy w Aninie

ul. VI Poprzeczna 23, 04-620 Warszawa

tel. 22 812 08 66

http://www.chatazpomyslami.org/wp

Wawerskie Centrum Kultury Filia Anin

ul. V Poprzeczna 13, 04-611 Warszawa

tel. 22 815 41 40

anin@wck-wawer.pl

Parafia Rzymskokatolicka Matki Bożej Królowej Polski

ul. Rzeźbiarska 46, 04-620 Warszawa

tel.(22) 613 07 20

www.aninparafia.pl

Biblijny Kościół Baptystyczny

ul. Szpotańskiego 22, 04-760 Warszawa

Przedszkole nr 233 „Zielony Domek”

ul. Pazińskiego 11a, 04-643 Warszawa

tel./fax (22) 812 06 89

e-mail: p233@edu.um.warszawa.pl



Granica Osiedla Anin przebiega:

- od linii kolejowej osi ulicy B. Czecha do granicy Dzielnicy Wawer z Dzielnicą Wesoła,
- granicą Dzielnicy Wawer (terenami leśnymi) do ulicy Zorzy,
- osi ulicy Zorzy, Hafciarskiej, przedłużenia Czatów do Hafciarskiej, Czatów, północną granicą terenów dawnego ZWAR do osi linii kolejowej,
- osi linii kolejowej do ulicy B. Czecha.

Drodzy Czytelnicy,

spróbujmy razem stworzyć rzetelny ANIŃSKI INFORMATOR. Umieścimy w nim wszystkie ważne dla mieszkańców Anina miejsca. Czekamy na Wasze propozycje (Dział łączności z czytelnikami - ul. Zambrowska 6a m 4, 04-642 Warszawa, lub - b.mildner@o2.pl)

Rezultat naszych wspólnych działań zamieścimy na blogu MNA – aninski.blogspot.com

(red)

GORĄCZKA POD KAPELUSZEM

Na termometrze tylko 36,6, a ja czuję gorączkę. Czyżby skutek wyborów albo pandemii? Może powodem kolejne przypalenie garnka, padnięta mikrofalówka (proszę pani, już nie robią takich programatorów!), kaprysy drukarki, która nie kontaktuje się z nowym komputerem? Bo sąsiadka się obraziła, że nie głosowałam tak jak ona i uważa mnie za podejrzanego element sterowany przez wiadome siły? Nie, nie i jeszcze raz nie. Zagotował mi się mózg po przeczytaniu książki, której wam nie polecam, bo stracie resztki wiary w lepsze jutro i duszę nieśmiertelną. I upewnienie się w przekonaniu, że człowiek sam sobie gotuje kłopoty nie tylko dzięki swojej głupocie i chciwości (patrz kryzys klimatyczny), ale dzięki swoim twórczym zdolnościom.

Taka jest główna teza autora *Krótkiej historii jutra*. Osobnik, który tą książką odbiera nam sporo dumy z bycia człowiekiem i perspektywę długiej, szczęśliwej starości, nazywa się Yuval Noah Harari. To Izraelczyk, określany jako jeden z najciekawszych myślicieli XXI wieku. Ma zwolenników, którzy uznają jego racje i zawziętych krytyków. Warto poznać przynajmniej najważniejsze tezy jego książki.

Na początku śledzimy długi (i ciekawy) wywód autora, jak to człowiek dążył i prawie osiągnął status boski (*homo deus* to pierwsza część tytułu). W trakcie tego procesu *homo sapiens*, wiele zniszczył, ujarzmiając Ziemię i wszystko, co na niej żyje. W stosunku do zwierząt, pisze Harari, ludzie okazali się bogami niezbyt łaskawymi. W przekonaniu, że tylko oni mają nieśmiertelne dusze, uzurpowali sobie (i nadal to czynią) szczególne prawa w odniesieniu do świata zwierząt. I korzystają z nich ze wszystkimi tego złymi konsekwencjami.

Czytamy o wadach i występkach *homo sapiens* i pytamy, jak to się stało, że on właśnie rządzi światem? Odpowiedź autora: bo tylko ludzie, jako jedyni, potrafią elastycznie współpracować w dużych grupach. Harari twierdzi także, że człowiek nie tylko rządzi światem, ale także nadaje mu sens. Tak było, bo już nie jest. Nowożytny człowiek nie wierzy już, jak dawniej, w cel swego życia na Ziemi (zasłużenie

na wieczność w raju), tylko bada przyczyny swego cierpienia. I stawia sobie za cel ich likwidację. Rezultat? „Widzimy przed sobą wszechmoc, ale pod stopami ziele przepaść nicości, powodując silny niepokój egzystencjalny” pisze autor.

Cierpliwy czytelnik dowie się z tego grubego dzieła, że postęp – w tym poskromienie głodu i epidemii, zmiana nastawienia do wojny i pokoju (nie wszędzie, ale znacząco) prowadzi człowieka do postawienia sobie nowego celu: osiągnięcia wiecznego szczęścia i statusu nieśmiertelnych bogów. Od kiedy człowiek uznał życie za święte, śmierć zaczęła mu się wydawać niekonieczna, pragnie osiągnąć boską władzę nad własną biologią. Zaczęto uważać, że nieśmiertelność jest możliwa – a przynajmniej dalsze wydłużanie życia – bez końca?

Chcąc nie chcąc, musimy zgodzić się z tezą, że cała „mądrość” człowieka bywa wątpliwa, gdy jego działania doprowadzają do zapaści ekologicznej. „Każde nowe pokolenie niszczy dawny świat i buduje na jego miejscu nowy”, czytamy w książce. Dla człowieka – klienta i wyborcy, sens życia polega na tym, że ma wolny wybór. A co się stanie, gdy się okaże, że jego decyzje nie są naprawdę jego własne? Przecież już upowszechnia się technologia zdolna do obliczenia i projektowania ludzkich odczuć. Skanery mózgu pozwalają przewidywać pragnienia i decyzje podejmowane przez ludzi, jeszcze zanim oni sami je sobie uświadomią. Nasze przekonanie o wolnej woli jest złudne, twierdzi Harari.

Człowiek osiągnął niezwykły postęp w przetwarzaniu danych. Poprzez kolejne (ciekawe!) rozdziały autor prowadzi nas do konkluzji, że w XXI w. dalszy rozwój będzie prowadził do zaniku przydatności ludzi dla systemu gospodarczego i wojskowego. W nowym systemie jednostki nie będą ważne, ludzie będą traktowani kolektywnie. Może być i tak, że system będzie preferował wyjątkowe jednostki, dzięki czemu powstanie elita superludzi. Reszta ludzkości stanie się zbędna.

Z tych rozważań wynika wniosek, że jeżeli nawet uda się nam powstrzymać



katastrofę klimatyczną, skończymy marnie, bo zamiast stworzenia sztucznej inteligencji, doprowadzi do ostatecznego zdegradowania naszego prawie już „boskiego” statusu.

Do zalet dzieła Harariego zaliczam to, że sam autor podaje w wątpliwość kategoryczność twierdzeń, które pracownicy podbudowywał faktami. Po dłuższych wywodach na temat znaczenia algorytmów, przetwarzania danych oraz sztucznej inteligencji oddzielonej od świadomości, Harari stawia pytania (sobie? czytelnikowi?) „czy naprawdę organizmy to tylko algorytmy, a życie to przetwarzanie danych? Czy naprawdę sztuczna inteligencja jest więcej warta niż świadomość? Co się stanie ze społeczeństwem, polityką i codziennym życiem, kiedy inteligentne algorytmy będą znały nas lepiej niż my sami?”

* * *

Po pięciu latach od napisania tej książki bieg wypadków potwierdza przewidywania Harariego. Inteligentne algorytmy już nas znają lepiej niż my sami. Korzystanie milionów (a może miliardów?) ludzi z mediów społecznościowych dostarcza właścicielom tych mediów niesamowitej wiedzy o użytkownikach. Sterują nami przy pomocy narzędzi, które pozostawiają nam iluzję, że mamy wolność wyboru. To tylko iluzja, nie wolność. Wygląda na to, że zbliża się ostatnia chwila, aby *homo sapiens* postarał się odwrócić nieuchronność takiej przyszłości, w którym zostanie ostatecznie wyparty z pozycji króla stworzenia. Zastąpią go narzędzia, które sam stworzył.

MIEDZY NAMI ANINIANINAMI

Redaguje zespół społeczny w składzie:

Jadwiga, Teresa Szymczak (redaktor senior), Barbara Mildner (redaktor naczelna), Dariusz Osiński (redaktor wydania cyfrowego MNA), Agata Gładkowska, Katarzyna Nowak, Grzegorz Samson, Mirosława Skoczeń, Joanna Wąsik, Ksenia Zimna - we współpracy z Oddziałem Anin TPW
Osoby stale współpracujące z redakcją: Wojciech Adamczyk, Piotr Błędowski, Maria Choderek, Jan Czerniawski, Aldona Kraus, Stanisław Latek, Michał Nowacki, Marek Samson, Barbara Wizimirska.

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO
REDAGOWANIA (W TYM SKRACANIA) TEKSTÓW



NIECODZIENNIK - PISMO BEZPŁATNE

Wydawca:

Biblioteka Publiczna w Dzielnicy Wawer m.st. Warszawy; 04-618 Warszawa, ul. Trawiasta 10
Dział łączności z czytelnikami: ul. Zambrowska 6a m 4, 04-642 Warszawa;
e-mail: b.mildner@O2.pl
Nasz blog: <http://aninski.blogspot.com>

Opracowanie graficzne, skład: Grzegorz Muczek
Druk: ACAD, ul. Sosnowa 34a, 05-420 Józefów, tel. (22) 789-47-89

NAKŁAD: 1000 EGZEMPLARZY



Joanna
Sokołowska

projektantka wnętrz
i
przedmiotów

